Głos Młodych



MIESIĘCZNIK T-WA MŁODYCH POLEK

Katowice, kwiecień 1938 r.

ROK IV. Cena egz. 25 gr

AMALIA IRENA HANZLÓWNA

Wiosenny marsz!

Idziemy naprzód! Hej! naprzód!
przeorać milczenie
Na wezwanie do życia uderzono już w gong
Młodym wichrem się rozszaleć
Wśród pól i łąk
i kniej!

— — — popędzi przez góry, parowy
przez rozchuczałe miasta
i nad cichą legendą strzech
— Przestrzeń lśni tęczy kolorem
w zielonej tafli odzywa się rechot.

A my! Idziemy! — sami jesteśmy wiosną
uśmiechnięci — cudni i młodzi
Płyniemy lawą wschodzących zórz
Do czynu! dłonie się proszą

W słońca rozmigotanej powodzi
dzień smutkiem się nie zachmurzy!

Rozprężym ramiona z zimowej drzemoty
Niech fabryczny snujący się dym
zachuczy potężny hymn
do CZYNU!
Słyszycie już śpiewają młoty
już syczy transmisyjny pas
Drganie maszyn — to serc naszych drganie
Idziemy naprzód! Hej! naprzód wezwani!
My młodzi! czekają nas!

Spis rzeczy:

GUSTAW MORCINEK.

Dwa światy

Zatrzymaliśmy się przed przydrożną szkołą

— Tu mieszka ów legendarny już Boroń?

— Tu mieszka!

Idą więc wszyscy w przepysznym słońcu jesiennym. Trzeba zejść z szosy na boczną wiejską drożynę, minąć ogrodzenie szkolne i podejść pod schludną chałupę. Wiemy już, że w tej właśnie chałupie mieszka Boroń. Jak Boroniowa wieś wsią, nigdy chyba nie było w niej naraz tylu gości z dalekiego świata. Nic dziwnego też, że we wsi poruszenie wielkie, aczkolwiek dyskretniej tonowane, aniżeli nazajutrz w Sandomierzu. Stoją ludzie przy drodze i patrzą się. Nie wiedzieć, czy życzliwie, czy z ciekawością, czy obojętnie. Jakoś bezwyrazowo. A może ja też tak mało ludzi znam, że trudno mi odgadnąć, co taki człowiek stojący przy drodze myśli w tej chwili, lub co przeżywa. Przypuszczam jednak, że coś w rodzaju zazdrości, iż ich kum Boroń będzie dzisiaj tak bardzo honorowany aż przez trzech panów ministrów, a przede wszystkim że zgarnie do kalety niesłychany pieniądz, od którego w głowie się mąci. Jako nagrodę za swój spryt i umiejętność wyzyskania swych doświadczeń, pozbieranych w świecie. Przecież jeden tysiąc złotych na dłoń wyłożonych, to tak wielki majątek, że od samego pomyślenia — jako się rzekło — w głowie się mąci!... I to za co? Za to pogrzebanie w ziemi!...

Z pewnością więc stateczni i milczący sąsiedzi bezwyrazowi zazdroszczą w tej chwili szczęśliwcowi Boroniowi. Czy tak jednak było naprawdę, trudno mi powiedzieć. W tej chwili bowiem interesują mnie dzieci przed szkołą. Oto takie zwykłe wiejskie dzieci o niebieskich oczach, o jasnych czuprynach.

Pani nauczycielka z pewnością na kilka dni przed naszym przyjazdem do Boronia wkładała łopatą w głowy dzieci takie mniej więcej przykazanie:

— Pamiętajcie dziateczki, że niedługo przyjedzie do nas jeden pan minister, i drugi pan minister i trzeci pan minister i jeszcze sporo innych wielkich panów w okularach, z tekami pod pachą, z ołówkami w dłoniach, wielce wścibskich, a którzy pojawiają się tam, gdzie ich nikt nie posiał, wtrącają wszędzie swoje trzy grosze, mądrują i piszą!... To wszystko jeszcze nic, ale najgorsze to to, że piszą!... O jej!.. Gdy osmarują naszą szkołę i was, dziateczki kochane, i mnie niebogę, przyjdzie srogie pismo od pana inspektora i wtedy będzie płacz i narzekanie!... Pamiętajcie więc dziateczki, że macie to a to robić, gdy przyjdą ci panowie z trzema panami ministrami, a nie powinniście a tego robić, bo jej! święty!...

Dziateczki więc zdawały sobie sprawę, że od nich zależy wszystko. I dlatego też zagrały świetną komedyjkę, gdy koło szkolnego płotu jęli przechodzić tamci obcy panowie. Oto jakby nic. Utworzyły wielkie koło przed szkołą na podwórzu, odgrodziły się od całego świata wielką i świetnie wyreżyserowaną obojętnością i grają sobie spokojnie w kotka i myszkę. Czy w coś podobnego. Biegają w kółeczko, nucą piosenkę, kotek łapie myszkę, myszka ucieka, kotek podbiega, łańcuch rąk obniża się, a wszystko dzieje się u nich jak w transie. Zahipnotyzowane czy co?...

Przypomina mi się scena z „Wesela” Wyspiańskiego, gdy wszyscy domownicy i goście z Chochołem na czele popadają w senny; niesamowity taniec i kołyszą się gasnącym rytmem tanecznym.

Chciałoby się zapytać pani nauczycielki, dlaczego nie wdrapują się na płoty, czemu nie wytrzeszczają zdumionych oczy, czemu nawet nie uciekają i nie kryją się za węgłem, by tylko z ukrycia zerkać na tylu obcych ludzi. Zamiast tego wszystkiego malutkie komedianty grzecznie ułożone, udające że ich nic a nic nie obchodzi. Ani

te olbrzymy autobusy, ani te błyszczące samochody, ani ci dziwni ludzie tak rzadko spotykani.

Wszystko zdradziło spojrzenie pani nauczycielki. Stała na uboczu, dyrygowała zabawą i tylko ukradkiem rzucała ciemnym okiem, czy tamci panowie patrzą się, jak świetnie prowadzi „lekcję ćwiczeń cielesnych".

Przypomniały mi się lekcje w szkole, takie pokazowe, na których bywają panowie nauczyciele i panie nauczycielki z całego okręgu, na które przyjedzie i pan inspektor i jego zastępca i jeszcze może ktoś z władzy. Poznaje się odrazu. Ta lekcja była już wyrezyserowana na poprzednich lekcjach, a teraz tylko chodzi o to, by pan inspektor kiwał głową i zachwycał się głośno, jaka to mądra klasa i jeszcze mądrzejszy pan nauczyciel. Pan inspektor jest starym wróblem i nie da się wziąć na plewy. Lecz nic nie mówi. Czasem lekcja nie jest wyreżyserowana. Poznaje się to od razu. I taka lekcja jest najbardziej wartościowa.

U naszej pani nauczycielki był zawód. Bo wszyscy przeszli, przeszli również panowie ministrowie, a ledwie pobieżnie okiem rzucili na wynik niefortunnego kilkudniowego wysiłku pani nauczycielki i jej dzieci szkolnych Za to wszyscy bardziej interesowali się później ogromnymi bandami dzieci, wyłażącymi na przydrożne wierzby i płoty koło szkoły, a wrzeszczących jakieś powitania tak głośno, że się aż serce śmiało. Najbardziej darli się chłopcy, dziewczynki zaś kiwały dłońmi i cieniutko piszczały. Odpowiadały im podniesione trzepoczące dłonie z przelatujących samochodów i autobusów. Lecz to już było w innych wsiach.

Przy chałupie stał Boroń. Nieduży, przysadzisty, odświetnie ubrany, wygolony, z wąsem zakręconym w cienkie, cieniutkie koniuszki, o małych, szarych i chytrych oczach. Oczy były bystre i uśmiechające się z jakąś ledwie, ledwie dostrzegalną wyższością. Obok jeden i drugi syn, potem jeszcze córka dorastająca. Wszyscy patrzą śmiało i wciąż z tym uśmiechem w oczach.

Nasz Boroń już nie był tym chłopem, którego później spotkałem na wałach pod Sandomierzem, kiedy w towarzystwie sołtysa czatował na pana ministra. Sołtys był przejęty swoją godnością, z wielka mosiężną blachą na łańcuchu na piersiach, jego towarzysz zaś, skurczony we dwoje trzymał w dłoniach jakiś arkusz zapisanego papieru. Ukłonili się nisko prawie aż do ziemi kiedy stanęli przed panem ministrem, z jakimś przesadnym uniżeniem, z głupawą czołobitnością nieszczerą i wyraźnie zakłamaną.

Stokroć milszy był mi Boroń, tak bardzo przypominający mi śląskiego chłopa czy górnika. Okazało się, że Boroń dlatego taki jakiś prawdziwy i szczery, bo z niejednego pieca chleb jadał. Był górnikiem na moim Śląsku za Olzą, szukał chleba w Ameryce, wyrobił się, otrzaskał z życiem, nabrał poczucia własnej godności i własnej wartości.

Teraz dziesięć banknotów stuzłotowych zgarnął do kieszeni radując się wyraźnie, a na protekcjonalne pogadywanie otaczających go gości odpowiadał z szacunkiem, lecz pod szacunkiem czaiło się lekkie dworowanie. To nawet może nie było dworowanie a raczej dyskretne akcentowanie, że, wcale nie siedzi na złotym koniu, iż go tylu panów poklepuje po ramieniu. Nie na darmo był na Śląsku!...

Wszystko zaś poszło o tę rudę. Rozlepione po wsiach afisze krzyczały czerwonymi literami, że pięćdziesiąt złotych otrzyma ten, kto znajdzie na swym polu rudę i prześle ją w pięciukilogramowym pakiecie do Katowic. Ruda zaś wygląda tak a tak. Być może, że gospodarze kiwali głowami nad owymi afiszami, deliberowali mądrze, naradzali się i drapali po głowie. A może to jakieś pańskie sztuczki, chytrości i diasi wiedzą, co jeszcze, a wszystko na despekt chłopu!... Ho, ho!... Nie ma głupich!..

Boroń przeczytał raz i drugi, zatrzymał się dłużej nad opisem rudy manganowej, dowiedział się, że taka ruda ma wygląd skorup, które na powierzchni ziemi są koloru brunatno-czarnego, znalezione zaś głębiej pod powierzchnią ziemi — koloru szarego, przypomniał sobie swoje praktykowanie w kopalni węgla gdzieś pod Karwiną i w Ameryce, i zaczął szukać. Jest!... Oto studnię kopał na podwórzu i teraz pod ścianą leżą takie same kamienie, o jakich mówi afisz na sołtysowej stodole. Zapakował, wysłał pod wskazanym adresem i otrzymał 50 złotych nagrody!... Toć to przecież była świetna 47 procentowa ruda żelazna, syderyt czy jak się to tam nazywa!...

Sąsiedzi co z początku patrzyli nieufnie na Boroniowe zabiegi, osłupieli!... Za 5 kilogramów kamieni aż 50 złotych!... Nie, świat się kończy!... Rozleciała się szeroko sława Boronia, chłopów ogarnęła „gorączka rudy", jęli grzebać za nią w ziemi, wydobywali jej ciężkie bryły spod stodołowych legarów, a gdzie je byli jeszcze dziadkowie ułożyli, zbierali z dna potoków, wydłubywali z drogi, szukali gdzie się dało, każdy kamień ważyli, odkładali, zasięgali mądrego zdania i oceny Boronia i wysyłali do Katowic. I co się okazało! .. Ruda jest!... Odkryto jej pokłady od Tuchowa poprzez Wisłokę wzdłuż Brzostka, Frysztaku gdzieś pod Korczyn i jeszcze dalej na wschód.

Teraz Boroń stoi patrzy małymi chytrymi oczami, rusza ostrymi koniuszkami wąsów i uśmiecha się zadowolony. Przypuszczac należy, że nie zdaje sobie sprawy, iż odkryte w ten sposób złoże rudy żelaznej zmniejszą koszt produkcji jednej tony stali surowej ze 163 złotych na 141 złotych, że zaoszczędzi się rocznie 13.2 milionów zł przy zmniejszeniu zapotrzebowania dewiz o 36 milionów zł, że da się zatrudnienie 5.350 robotni-

kom i 550 urzędnikom, dla osiągnięcia zaś takiego efektu będzie potrzeba inwestować tylko 15 milionów złotych, czyli wartość niewiele przekraczającą jednoroczną oszczędność, a przede wszystkim będzie to poważny krok w kierunku uniezależnienia przemysłu hutniczego od zagranicy.

Boroń nie zdaje sobie tak dokładnej sprawy z owego odkrycia rudy na swoim podwórzu, lecz wie, że zanosi się na rzecz wielką. Ponieważ zostało zgłoszone nadanie górnicze dla umożliwienia wydobywania rud, otrzymał premię 1000 zł. Niezadługo zaś może po trzeci raz ujmie za kilof, przedzierzgnie się z powrotem w górnika i zacznie grzebać w ziemi jak ongiś grzebał na Śląsku i w Ameryce.

— Co pan, panie Boroń, zrobi z tymi pieniędzmi? — pyta ktoś z naszej gromady.

— Chałupę synowi postawię!

— Za tysiąc złotych?

— Nie!... Ale to będzie na początek!...

Boroń chętnie wdaje się w pogawędkę. Czy zna Morawską Ostrawę? Radwanice? Pietwałd! Karwinę?...

— Ho, ho!... Znam dobrze!... Przed wojną tam byłem!...

— Na której kopalni?

— Na „Zofijce"!

I Czechów zna dobrze. Wciągali go w swoje „cztenarskie spolki" i „delnickie Unie", lecz oparł się. A trudno było się nieraz oprzeć. No, ale to już dawno!... Do Karwinej jeździł na odpust ku nowemu kościołowi. Na rowerze! A jak też tam dzisiaj?

Boroń wie, jak tam dzisiaj, gdyż czyta gazety i książki. On tylko pragnie poświadczenia, że tak jest istotnie, jak podaje prasa.

Chciałoby się długo gawędzić z Boroniem, lecz czas nagli, autobusy już warczą, trąbki beczą. Wracamy przeto koło szkoły na szosę. Przy szkole już nie ma dzieci. Widocznie są w klasie. A szkoda. I z nimi chciałoby się pogawędzić!...

Czeka nas jeszcze sędziwy Sandomierz.

Przybywamy do niego późnym wieczorem przy księżycu. Walimy z hurkotem i szumem przez długi most żelazny, gapimy się na szeroką Wisłę, wyławiamy z mroku zarysy jakichś zamczysk i gmachów na wysokim brzegu. Samochody pną się pod górę, sapią z wysiłku, podskakują na nierównym bruku, wjeżdżamy na rynek. Na rynku prześliczny ratusz z czterema kolorowymi lampkami na szczycie. Mierna to iluminacja, biedniutka bardzo, lecz przy księżycu zyskuje na efekcie. Wpadamy w ogromny tłum. Przeważają Żydzi mocno zaaferowani, nerwowi, bełkotliwi, biegnący ogromną kupą koło każdego autobusu, przepychający się gwałtownie, zaglądający do wnętrza samochodów, czarni jacyś i obcy. Widać sensacja to niezwykła dla Sandomierza ów najazd tylu obcych ludzi. Policja toruje drogę autobusom i samochodom, krzyczy, rozpędza, bo wszystko pcha się wprost pod koła, napiera, kotłuje charkotliwą gęstwą. Czarne, rozbiegane i płonące z emocji oczy błyszczą w skąpych lampach ulicznych i w księżycu, jaśnieją plamy białych, prawie ascetycznych twarzy, rozwiewają się chałaty, piszczą dzieci i dziewczyny o rubensowskiej urodzie, skupiają się patriarchowie o długich białych brodach, a chude palce czeszą je niespokojnie, szumi bełkot cudzoziemskiej mowy, w powietrzu unosi się zapach kiełkujących nadziei, interesów i pieniędzy.

W kasynie gwar. Sala nieduża, aczkolwiek — jak można wnioskować — największa w całym Sandomierzu. W kącie sali wiodą schody na stryszek. Na stryszku siedzi sandomierska kapela i rznie oberki, tanga i jeszcze inne piękne „kawałki". Trąby i flety wystawiła w otwór w suficie, ażeby w sali można było lepiej słychać. Za stołami ciasno. Usługują panie i jakiś grzeczny dryblas w pomiętym fraku o krótkich rękawach, w miękkim kołnierzyku i z wielce pomiętym gorsem, lecz w białych, bawełnianych rękawiczkach. Trzy usługujące panie są ogromnie miłe, aczkolwiek przypominają zdeklasowane arystokratki, zwłaszcza że jedna z nich trzyma z nonszalancją papierosa w ustach, kiedy podaje gościom półmiski.

A potem włóczęga po uśpionym mieście przy świetle księżyca. Ślicznie wygląda wszystko, jak dekoracja w bogatym teatrze.

— To stolica Centralnego Okręgu Przemysłowego! — objaśniają świadomsi.

Wcale nie zakrawa na stolicę. Szacowny zabytek, który warto zamienić w muzeum drogich pamiątek historycznych, nakryć kloszem i wybierać wstępne od zwiedzających. Milsze mi już owe Stalowe Wole, których oto niedawno jeszcze nie było, a dzisiaj już są takie mocne, rozpierające się buńczuczne, rosnące pod niebo, rozskrzyczane walącymi młotami i turkotem maszyn.

Błądzimy gromadą po zaułkach, ściszamy bezwiednie głos jak przystoi na przykład w kościele lub przy umarłym, patrzymy na ogromnie stare gmachy, ktoś tam sypie datami historycznymi, mówi o Tatarach, o Kazimierzu Wielkim, o Szwedach, o biskupach i o Długoszu, objaśnia szeroko, wodzi nas, wskazuje, podziwiać każe. Owszem, ładne przy księżycu!... Nawet bardzo ładne!... Lecz nic na to nie poradzę, że mnie bardziej imponują kominy i hale Stalowej Woli. Tu się bowiem Polska skończyła, w Stalowej Woli wyrasta nowa Polska. Kogoś tam w gromadzie uraża moja obojętność dla cennych zabytków architektury Sandomierza, dla jego pamiątek, przeszłości, Tatarów, Esterki, Szwedów i ratusza.

W dolinie bełkoce Wisła. Jutro będziemy ją oglądali i patrzyli, jak nowoczesny człowiek ujmuje ją w ogromne wały, jak buduje nad nią mosty, sypie brzegi, ubija je mechanicznym młotem ska-

czącym jak żaba, a podobnym do wielkiej beczki żelaznej, potem jeszcze będziemy się wałęsali w kopnym piachu, będziemy zadzierali głowy pod szczyty wiązań Stalowej Woli, będziemy zatykali uszy podczas łoskotu młotów.

Mijamy przykucnięte domki i stateczne kamienice. W niektórych oknach jaśnieją samotne światła. Z pewnością ktoś tam schylony z długą białą brodą lub ktoś młody o czarnej czuprynie i o czarnych płomiennych oczach oblicza przyszłe zyski, jakie popłyną niezadługo przez miasto, buduje zamki, tworzy milionowe fortuny, a swoje marzenia zagryza kawałkiem chleba i śledziem, i kaszle.

Nasz przemiły towarzysz i przewodnik, rozmiłowany w Sandomierzu, pragnie nas zasugerować urodą tego dziwnego miasta nad Wisłą. Każe nam podziwiać mury, antyki, narożniki, style, perspektywy, Wisłę pod miastem. Owszem, owszem!... Wszystko bardzo piękne. Lecz stokroć mi piękniejsza Stalowa Wola, sypane wały nad Wisłą, kupa rudy żelaznej na boroniowym podwórzu, gazociągi, przewody elektryczne, Mościce, jazgot maszyn, ślizganie się obrabiarek w łożyskach, bijące młoty dniem i nocą, Rożnów i ci nowi ludzie, tworzący ten drugi świat.

A przede wszystkim ludzie są mi stokroć piękniejsi. Począwszy od zawziętego inicjatora Centralnego Okręgu Przemysłowego aż do Boronia i tego najdrobniejszego robotnika, co młotem wali.

LUDWIKA PITROWA.

„Nie słowa – lecz czyny niech mówią o nas!”

II.

W poprzednim artykule mówiliśmy o wykonywaniu pracy patriotycznej, w praktycznym tego słowa znaczeniu. Dziś zastanowimy się w dalszym ciągu jakie jeszcze inne obowiązki ciążą na Młodych Polkach, które powinnyśmy wypełniać, aby nie zboczyć z drogi naszych górnych haseł.

Jako drugi punkt, omówimy 'pracę naszą społeczną, jak ją mamy wykonywać w praktyce, w życiu codziennym. Więc przede wszystkiem zacznijmy od podstaw naszej społeczności, zacznijmy od rodziny. Na czym polegają nasze obowiązki względem rodziny i jak je mamy wykonywać? Rodziców naszych i rodzeństwo darzyć musimy przede wszystkim głebokiem uczuciem i starać się pomagać im w ich potrzebach moralnych i fizycznych. Pomagajmy matce w gospodarstwie domowym, dbajmy o czystość i porządek w mieszkaniu, pamiętajmy, że nawet najuboższego człowieka stać na luksus czystości. Cerujmy i naprawiajmy odzież, zajmijmy się odrabianiem lekcji szkolnych naszego rodzeństwa; uczmy siostry nasze dobrego i spokojnego zachowania się, szacunku i poważania dla starszych, cichego i sumiennego spełniania swych obowiązków, posłuszeństwa i czci dla Rodziców. Musimy same się starać, być dla rodzeństwa przykładem, a dla Rodziców radością i pomocą. Bądźmy prawe i dotrzymujmy danego słowa nawet w rzeczach błachych, bądźmy prawdomówne, nie ukrywajmy swych błędów ale je zwalczajmy. W Towarzystwie naszym bądźmy karne i solidarne. Niech w kołach naszych panuje wszędzie serdeczna przyjaźń i sprawiedliwy podział pracy. W wielu Kołach mamy nowe kadry członkiń młodszych, bo niektóre z nich dopiero co opuściły mury szkolne. My starsze i wyrobione członkinie musimy zająć się pracą nad nimi; musimy włożyć tutaj dużo wysiłku i starań, — dużo dobrej woli i cierpliwości, aby je powoli wśród zabaw i śpiewów, wdrażać w karność i przyzwyczajać do pracy nad sobą, aby wyrosły z nich pożyteczne jednostki. Powinnyśmy urządzać dla nich osobne, specjalne zajęcia świetlicowe, zniżyć się do ich poziomu i przy uczeniu różnych gier i zabaw, przy wesołym śpiewaniu pięknych naszych pieśni, — zapoznawać je pomału z pracą w Kole, przez krótkie a dostępne pogadanki na temat zachowania, karności, na tematy historyczne i literackie, krajoznawcze i gospodarcze, a także i na tematy ogólno - społeczne. Przy każdej sposobności podkreślajmy, że są Młodymi Polkami, - że muszą tak zawsze postępować, aby mogły być dumą organizacji, do której należą. Praca ta nastręczy nam nieraz dużo trudności, ale przyczyni się do tego, że Koło będzie miało kiedyś po nas dobre następczynie. W stosunku do reszty członkiń powinnyśmy być zawsze szczere i przyjacielskie, wspólnie i z ochotą pracować, czy to dokształcać się i wogóle starać się o to, aby nasze Koła — te małe komórki społeczne — stały się wzorem ładu i pracy, w pogodnej atmosferze szczerych i gorących serc.

Z. Gł. urządza każdego roku liczne kursy fachowe jak n. p. gotowania, szycia, modniarstwa, prasowania i. t. d. Powinnyśmy na nie gremialnie uczęszczać, bo nabyte tam wiadomości podnoszą naszą wartość społeczną i możemy je zużytkować dla siebie, w swoim gospodarstwie, lub też dla innych, gdy przyjdzie nam szukać zajęcia w celach zarobkowych. Wewnątrz Koła powinnyśmy zatem jak najintensywniej pracować nad sobą i nad młodszymi druhnami, abyśmy się stały jak naj-

bardziej wartościowymi członkiniami społeczeństwa; nazewnątrz zaś — powinnyśmy urządzać różne imprezy jak, przedstawienia, wieczornice wypełnione tańcami narodowymi, pieśniami, recytacjami i inscenizacjami, aby budzić nimi wśród społeczeństwa zamiłowanie do utworów literackich, muzyki, estetyki tańca, kultu dla pieśni. Impreza taka dobrze pomyślana i wykonana, da społeczeństwu dużo radości i wypoczynku, odwróci ich zmaterializowane — wśród ciężkiej walki o chleb — umysły od przeciętności dnia powszedniego, do tego — co tworzy piękno i ozdobę życia! Takie imprezy muszą stać na jak najwyższym poziomie, aby swój cel osiągnęły i świadczyły, że cokolwiek robimy, to robimy dobrze. Pieniądze uzyskane ze wstępów przekazujemy na ubogie dzieci, na budowę szkół, na bezrobotnych, na pracę oświatową i na inne cele społeczne. Taka więc praca przyniesie podwójny zysk, bo z jednej strony siejąc zamiłowania do tego co piękne i dobre, pomnażamy moralne zalety społeczeństwa, a z drugiej — ofiarowaniem dochodu na wyżej wymienione cele — przyczyniamy się do zaspokojenia ich potrzeb i braków materialnych.

A teraz zastanówmy się jakie są nasze obowiązki poza Kołem i jak je spełniać powinnyśmy? Dajmy przede wszystkiem dobry przykład na każdym kroku! Dziś gdy ogół ludzi a szczególnie naszych rówieśnic i rówieśników zupełnie nie dba n. p. o sposób zachowania się, — my swoim postębowaniem starajmy się to poprawić. My młode Polki stańmy się i pod tym względem ideałem, a wiemy, że dobry przykład nieraz cuda czyni. Bądźmy więc na ulicy i w miejscach publicznych taktowne, śmiech, radość i nasze rozmowy niech nie będą krzykliwe i niech nie zwracają powszechnej krytycznej uwagi. Zawsze trzeba umieć zachować pewien umiar i takt, który nie polega na jakiejś nadmiernej powadze czy sztywności, ale który łagodzi wybuchy żywiołowej młodości. Nie chodźmy ulicą po trzy — cztery, razem i nie potrącajmy przechodniòw. Na wspólnych zabawach i wycieczkach z młodzieżą męską trzeba umieć zachować swoją godność kobiecą; jest to nasz największy skarb — więc strzeżmy go pilnie! Nie bądźmy w błędzie i nie sądźmy, że zbytnie spoufalanie przyniesie nam radość i powodzenie. O nie! Przeciwnie, — zbyt poufałe obejście narazi nas tylko na lekceważenie, na dwuznaczne powiedzenia, dowcipy, piosenki, lub nawet wykrzyki. Musimy zrozumieć, że radość i wesołość przy wspólnych zabawach z młodzieżą męską musi być oparta na serdecznej koleżeńskości, a nie na zbytnim spoufaleniu. Musimy tak postępować i zachowywać się, aby w radosnym śmiechu czy tańcu brzmiała nuta szczerej, młodzieńczej serdeczności z poczuciem naszej godności kobiecej. Ceń się jak najwyżej, to i inni cenić cię będą. Takim postępowaniem przyczynimy się do sprostowania błędnych nieraz sądów o kobiecie i do należytej oceny naszej wartości moralnej.

Wobec ogółu społeczeństwa mamy i inne jeszcze obowiązki. W dzisiejszych ciężkich czasach bezrobocia, — pomoc dla tych co nie mają pracy wybija się na pierwszy plan. O specjalnej organizacji pomocy dla bezrobotnych była już mowa w poprzednim numerze naszego pisma w artykule p. t. „Z zagadnień opieki społecznej nad rodziną". Nie będziemy więc znowu tego samego powtarzać, lecz spróbujmy ten piękny plan pracy choć w części zrealizować. Do tego dodajmy tylko to jeszcze, że oprócz odpowiedniego zorganizowania pomocy dla bezrobotnych, musimy i my same osobiście pomagać w miarę możności i nietylko tym, co nam jest zbyteczne, czego nie potrzebujemy, ale i tym, czego przyjdzie nam sobie odmówić. Zawsze przy dobrej woli z przekonaniem, że czynimy dobrze, — wiele dokonać możemy i w złej doli dopomóc. Nieraz znowu zdarza się że w rodzinie matka pracuje, a dzieci swe, nieraz nieletnie, pozostawia w domu bez żadnego dozoru. Spieszmy tam z pomocą. Na czas nieobecności matki zaopiekujmy się tymi małymi, a sprawimy, że matka będzie mogła spokojnie pracować, — dzieci zaś nie spotka nic złego. Nieśmy też pomoc chorym; jeżeli nie umiemy wykonywać czynności pielęgniarskich, to przynajmniej słowem, uśmiechem, czytaniem lub tylko obecnością nieśmy im ulgę w cierpieniu. Ponieważ w niektórych miejscowościach urządza się kursy sanitarne, bierzmy w nich udział a nauczymy się tam jak nieść pomoc ludziom w wypadkach zranienia, złamania, oparzenia i t. d. Będziemy mogły te wiadomości zużytkować dla dobra ogółu. I tutaj wysuwa się potrzeba, aby Z. Gł. postarał się zorganizować po Kołach takie kursy sanitarne i pielęgniarskie, któreby nauczyły nas ogólnych przynajmniej sposobów niesienia pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, a także przy pielęgnowaniu chorych i niemowląt. Wiadomości na tych kursach zdobyte, zużytkowałybyśmy w praktyce i napewno przydałyby się one bardzo w życiu codziennym. Ponieważ przyszła wojna będzie zagrażała całemu społeczeństwu, musimy przygotować się do tego, aby móc pomóc i sobie i innym. Nauczymy się tego na kursach L. O. P. P., zapisujmy się do sekcji P. W. K. i gromadźmy jak najskrzętniej te wiadomości, pamiętając, żeby na wypadek wojny można ratować i szerokie masy społeczeństwa.

Jedną z zasad naszej Organizacji jest praca w kierunku demokratyzacji społeczeństwa. Pracujmy usilnie i wytrwale w tym kierunku i nieśmy w ogół otaczającego nas społeczeństwa hasła równości i braterstwa! Jest to naszym najważniejszym wobec nich obowiązkiem! W naszych szeregach grupujemy przedstawicielki wszystkich środowisk, i tę pracę nad przebudową w dziedzinie pojęć i obyczajów zaczynając od nas samych rozpowszechniajmy wśród szerokich mas. Utrwalajmy w spo-

łeczeństwie przekonanie, że wszystkie stany składają się na społeczną całość, że ludzi ceni się według ich moralnych wartości a nie według stanowiska, pochodzenia, czy urodzenia, — że wszyscy i bogaci i biedni i ci co na wysokich stoją stanowiskach i ci na niskich, i ci z miast i ci ze wsi — stanowią jedną, wielką rodzinę. A my w Kole, wszystkie razem, bez względu z jakiego środowiska pochodzimy, musimy stać silnie, jedna przy drugiej w równym szeregu, aby razem wspólnie dać przykład jedności i równości społecznej.

Wiemy, że kobiety uzyskały równouprawnienie, że mamy dzisiaj dostęp do udziału w rządach państwem, do różnych urzędów i kierowniczych stanowisk. Ponieważ jednak sprawa równouprawnienia jest traktowana przez świat męski jako jakiś łaskawie nam dany przywilej a nie słusznie nam się należące prawo, przeto musimy wytrwale starać się, aby tego, co nam się należy nie ograniczano, abyśmy sobie wywalczyły pełny i sprawiedliwy udział we wszystkich sprawach społecznych i państwowych. Szukajmy więc nowych indywidualnych dróg pracy, a pracujmy twórczo i z zaparciem się siebie. Ugruntowujemy nasze stanowisko społeczne przez pracę nad sobą i nad dobrem ogółu, przez sumienne wypełnianie naszych obowiązków w poczuciu wielkiej odpowiedzialności za przyszłość pokoleń.

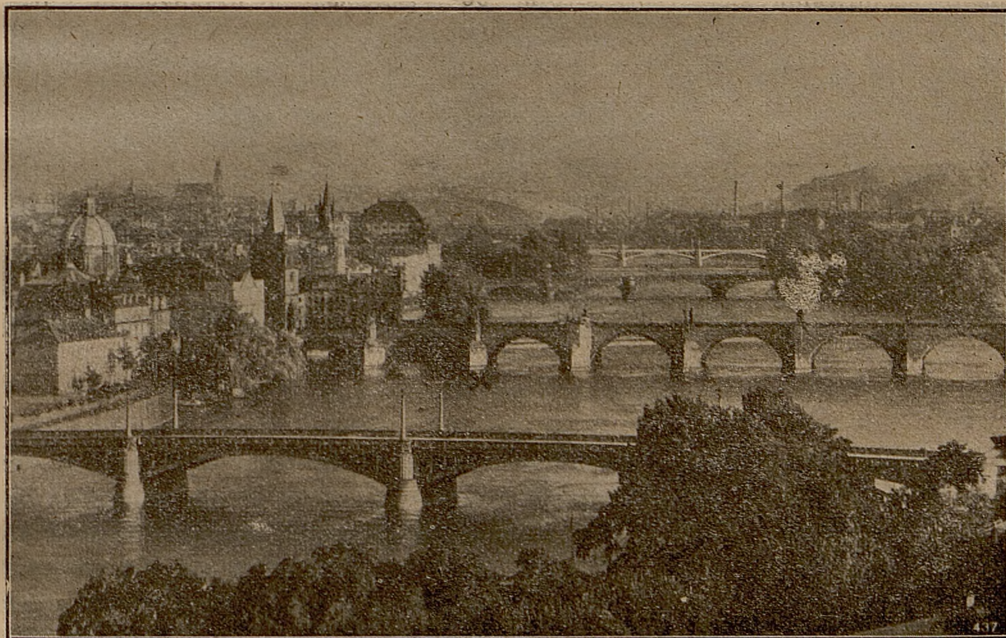
Naprzód, Młode Polki, zawsze naprzód we wszystkich dziedzinach życia — nigdy wstecz!

JANINA KOZŁOWSKA.

Autokarem po Pradze

Praga jest pięknym milionowym miastem położonym po obu brzegach Wełtawy. Dawną starą Pragę z nowszymi gmachami i zabudowaniami jak Teatr Narodowy — Parlament łączą mosty — najstarszy z nich pamięta czasy Karola IV w r. 1340, ozdobiony pięknymi w kamieniu kutymi figurami świętych. Schodząc na most od strony zamku na Hradczanach, widzi się figurę św. Jana Nepomucena, który został na rozkaz króla Wacława utopiony w Wełtawie w r. 1393, za to, że nie chciał wyjawić tajemnicy spowiedzi. Kanonizowany w poczet świętych — pochowany w kościele św. Wita na Hradczanach — kościół budowany w stylu gotyckim. W nawie jego bocznej mieści się grób św. Jana na marmurowym postumencie, całkowicie wykonany z czystego srebra. 4 aniołów trzyma na ramionach trumnę, z pułapu zwisają 4 baldachimy z purpurowego aksamitu, które trzymają w locie rozpięci aniołowie. Całość robi prawdziwie imponujące wrażenie.

W tymże kościele jest kaplica św. Wita, w której znajduje się również jego grób, cała wyłożona płytkami agatu i ametystu łączonymi złotem. Kaplica posiada drzwi i klamkę, której trzymał się Święty, gdy na progu kościoła, został przez siepaczy króla zamordowany.



Mosty na Wełtawie.

Z kościoła wychodzi się na plac zamknięty, z którego można małym przejściem dostać się do starego zamku hradczańskiego. Ciekawym zabytkiem są dwie sale w stylu gotyckim, z których

jedna jest dawnym dziedzińcem, na którym odbywały się turnieje. Inne mniejsze, mają doskonale zakonserwowane drzwi, oraz olbrzymie piece kaflowe pamiętające czasy baroku. Plac przed starym zamkiem jest wyłożony granitem a na środku wznosi się olbrzymi obelisk, wzniesiony w ostatnich czasach ku pamięci zmarłego prezydenta Massaryka.

Kilka kroków stąd — załatwia się małą formalność — trzeba wykupić wstęp do sal hiszpańskich po 1 koronie Imponująco wyglądają te sale pełne inkrustacji i ozdób barokowych, pięknych złoceń — wspaniałe świeczniki kryształowe odbijają refleksy światła, lustrzane ściany je podwajają i robią wrażenie niezapomniane.

Wychodzimy na dziedziniec — na maszcie nad zamkiem powiewa chorągiew z godłem państwowym — znak, że na zamku przebywa prezydent Czechosłowacji dr. Edward Benesz, Na dziedzińcu jesteśmy świadkami zmiany warty (właśnie tak pozostanie na zawsze, jedynie specjalna komisja roztacza pieczę nad zabytkami.

Mijamy kilka ulic, aby znaleść się na zamku przed ratuszem, którego pochodzenie określa się na rok 1389. Pod balkonem ratusza widać małe krzyże ułożone z białych kamieni, mają one oznaczać ślady krwi ściętych radców miejskich posądzonych o herezję. W mury ratusza wmurowano tablicę pamiątkową, na której widnieją nazwiska bohaterów, którzy zginęli podczas wojny światowej.

Na placu przed ratuszem wznosi się posąg Husa spalonego na stosie. Pięknym zabytkiem ratusza jest zegar tak skonstruowany, że wskazuje dzień, miesiąc, godzinę słoneczną i porę roku. Gdy zegar wybija jakąś godzinę, otwierają się małe okienka i przy akompaniamencie dzwonka, przesuwają się figury apostołów z p. Jezusem na czele. Zegar ten jest osobliwością, człowiek, który go skonstruował, został oślepiony, aby nie mógł podobnego zrobić. Przez pasaże wychodzimy na



Kościół św. Wita na Hradczanach.

jest godzina 12 w południe) w historycznych mundurach. Żołnierze armii czeskiej pełniąc wartę. przybierają uniformy francuskie, włoskie lub rosyjskie. a dzieje się to na pamiątkę tego, że podszas wojny światowej w latach od 1914 — 1918 czesi formowali swe wojska na obcych terytoriach — i żołnierze przy uniformach państw obcych koalicyjnych mieli tylko znaczki swej przyszłej Ojczyzny.

Obok zamku hradczańskiego znajduje się piękny pałac arcybiskupa zbudowany w stylu renesansowym. Stromo schodzi się na starą Pragę. Piękne gotyckie domy, ściśle przylegają do siebie, wąskie, niewygodne ulice, brukowane dużą nieregularną kostką, biegną w różnych kierunkach. Nie wolno tu niczego przebudowywać, ani zmieniać, „Weclawskie namiesti”, jest to centrum Pragi — tramwaje, auta, ludzie, wszystko pędzi naprzód a z góry spogląda, ogromny pomnik króla Wacława II. Powyżej jest Muzeum Narodowe, którego przepiękne zbiory sięgające czasów przedhistorycznych, poprzez okresy kamienia łupanego, żelaza i bronzu, aż do kultury łacińskiej i romańskiej, są żywym dowodem kultury i sztuki państwa czeskiego. Aby dokładnie zapoznać się z zabytkami, mało i tygodnia. Wychodzimy stąd, aby po chwili minąć główny dworzec Wilsona, drugi mniejszy Massaryka — olbrzymi gmach Zakładów Elektrycznych, które zaopatrują prądem całe miasto, — sztuczny port na Wełtawie i stado mew tak łaskawych, że można je karmić ręką — tędy także można dostać się do pałacu Wystawowego, który mieści się na

3 placach. Rokrocznie urządza Praga swoje wzorkowe welełhry, które cieszą się dużym powodzeniem u swoich i obcych. Widać tu jak na dłoni całokształt pracy na polu gospodarczym i przemysłowym. W pierwszym pałacu 7-dmio piętrowym mieści się wszystko, o czym dusza zamarzy — począwszy od sadzonek kwiatów znanych, cieplarnianych, egzotycznych — dalej maszyny — meble — szkło — galanteria — wyroby skórzane — materie — kuchnie elektryczne, pralnie które razem mogą być użyte jako suszarki — na miejscu urządza się demonstracje — jak powinna wyglądać zracjonalizowana praca w nowoczesnym gospodarstwie domowym. Na drugim placu stoiska reklamowe firm polecających swe radia, gorsze meble i naczynia znormalizowane w gosp. domowym. 3 plac — wyłącznie poświęcony maszynom — a rej wodzi fabryka Skody.

Tak pobieżnie wyglądałby rzut oka na Pragę — za mało czasu, aby przyjrzeć się z większą uwagą innym osobliwościom. Z tąd udajemy się na dworzec Wilsona, aby międzynarodowym pociągiem pełni wrażeń niezapomnianych, powrócić do Polski. Na granicy wita nas miła i uśmiechnięta twarz polskiego urzędnika celnego, który pyta grzecznie, „czy nie mamy czegoś do oclenia" po kilkuminutowych formalnościach paszportowych rusza pociąg uwożąc nas do krainy kominów, ziemi naszej i umiłowanej — bo własnej. — Na refleksje końcowe powiedzieć można, że są na świecie piękne rzeczy — ale dla nas najmilsze to co własne.

Kącik świetlicowy

WŁADYSŁAW PAWŁOWSKI.

Teatralny ruch ludowy na Śląsku i jego obecna struktura organizacyjna

Teatralny ruch ludowy na Śląsku zapoczątkował się w pierwszej połowie XIX wieku i wiąże się ściśle z nazwiskami dwóch działaczy śląskich t. j. Karola Miarki i Juliusza Ligonia.

Potęgująca się w owych czasach z dnia na dzień działalność teatru niemieckiego na Śląsku i i konieczność przeciwstawienia się tej akcji ze strony społeczeństwa polskiego oraz niebywałe zainteresowanie, jakie wywołała na Śląsku w r. 1868 gościna Krakowskiego Towarzystwa Dramatycznego w Mysłowicach, skłoniły obu działaczy do użytkowania teatru, jako kapitalnego czynnika, propagującego polskość na Śląsku.

Stanisław Wallis w swej pracy o teatrze ludowym na Śląsku podaje, że już począwszy od r. 1855 niemieckie zespoły teatralne dawały na Śląsku przez 2 miesiące przedstawienia teatralne, a mianowicie: w poniedziałki, w czwartki i w piątki w Bytomiu na sali Beutchera, zaś we wtorki, środy i soboty w Królewskiej Hucie na sali Poszka. Niemcom bardzo zależało na tym, by przyciągnąć Ślązaków do teatru niemieckiego, to też w repertuarze teatru niemieckiego na Śląsku pojawiają się sztuki o tematach polskich. I tak w roku 1856 niemiecka trupa teatralna dała w Tarnowskich Górach przedstawienie p.t. „Ein Abenteuer in einer polnischen Schenke", czyli Przygoda w polskiej karczmie, oraz w tym samym czasie w Królewskiej Hucie, inny zespół niemiecki daje sztukę p.t. „Der Pole und sein Kind", również o temacie polskim, jak zresztą mówi o tym sam tytuł. Typy Polaków w tych sztukach przedstawione były w korzystnym świetle. Pomimo tego Ślązacy na niemieckie przedstawienia nie uczęszczali, ponieważ w przeważnej mierze językiem niemieckim nie władali.

Wyżej wymienione powody pobudziły Karola Miarkę do pisania sztuk teatralnych i odtwarzania ich na scenie. W r. 1860 pisze Miarka i wydaje 2 sztuki t. j. Żuawów i Mośka Spekulanta, które odegrało po raz pierwszy w roku 1870 istniejące w Królewskiej Hucie Towarzystwo „Kasyno Polskie", założone przez Karola Miarkę, Dr Chłapowskiego i Juliusza Ligonia w r. 1868. Przedstawienie to było zarazem pierwszym polskim przedstawieniem w Królewskiej Hucie. W niedługim czasie Kółko Teatralne wymienionego Towarzystwa liczyło 600 członków i odznaczało się w pracy niezwykłą aktywnością.

Stanisław Bełza w swej pracy o Karolu Miarce tak pisze o pracach teatralnych Miarki: „Jako spostrzegacz bystry, Miarka zwrócił także uwagę na wpływ sceny. Lud górnośląski teatru polskiego nigdy nie widział, ale jak każdy lud, był wrażliwym na teatry. Ponieważ sztuczek ludowych pod ręką nie było, przeto Miarka napisał ich kilka (Żuawi, Dzwonek św. Jadwigi, Kwiatek Górnego Śląska, Kulturnik), sam je ze swoją rodziną zaczął odgrywać na scenie. Lud z zapałem przyjął te widowiska, zachwycał się głośno dźwiękiem

polskiej mowy i dziś już w wielu miejscach ma amatorskie sceny, które coraz bardziej rozwijają w nim jej zamiłowanie".

Juliusz Ligoń podobnie jak Miarka pisze sztuki przystępne dla ludu, o tematach związanych z jego życiem i obyczajami. Choć określa je jako komedyjki, treść ich jest jednak poważna i umoralniająca. Muzykę do sztuk Juliusza Ligonia dorabiał Franciszek Zaremba, organista i nauczyciel muzyki w Środzie, który wydawał również katalogi sztuk teatralnych. Przez wprowadzenie muzyki, sztuki Ligonia nabrały charakteru wodewilu ludowego. Sztuki te drukowane były w Gazecie Górnośląskiej, na skutek czego były zaraz rozpowszechnione i grywane przez różne kółka teatralne. Pierwsza sztuka Juliusza Ligonia ukazała się w druku w roku 1877. Była nią komedyjka p. t. Nawrócony. W roku następnym t. j. 1878 wydrukowano

Ważną pozycją w repertuarze teatru ludowego na Śląsku były widowiska pasyjne. Głośne było na całym Śląsku widowisko pasyjne, skonstruowane z tekstów 4-ch ewangelii przez ks. Miczkę z Rybnika i odtworzone tamże siłami amatorskimi młodzieży Towarzystwa pod opieką św. Alojzego, założonego przez ks. Miczka w Rybniku w roku 1892. Widowisko to stało na wysokim poziomie i było porównywane ze słynnym widowiskiem pasyjnym w Ober-Amergau. Widowiska pasyjne przeniosły się również do innych miast śląskich jak Piekary i Lipiny Śląskie, gdzie urządzane były pod opieką ks. Michalskiego.

Do jakiego rozwoju doszedł teatr ludowy na Śląsku pod koniec XIX wieku niech świadczą słowa Karola Estreichera, który żaląc się na bardzo słaby stan teatru ludowego w Galicji, tak pisał w roku 1900 w krakowskim „Czasie" nr. 250 i 251 o teatrze ludowym na Śląsku: „Lud dopiero kształci



„Swaty" w Janowie Miejskim.

dwie dalsze sztuki: komedyjkę w 1 akcie p. t. Dobry Syn i Prawda Zwycięża, obrazek w 3 aktach. Poza tym Ligoń napisał: Los Sieroty, Sierota i Więzień. Ligoń sam opracowywał reżysersko swoje sztuki z Kołem Teatralnym w Królewskiej Hucie, w czym pomagał mu jego syn Jan i Prezes tego Towarzystwa Ks. Łukaszczyk, który służy mu swymi radami.

Trzecim, bardzo płodnym autorem, piszącym dla teatru ludowego na Śląsku był Piotr Kołodziej, który drukował swe sztuki w Katoliku. Niektóre z nich wydała księgarnia Cybulskiego w Poznaniu. Do najpopularniejszych należą: Na Wymiarze, Bogata Wdowa, Wycuźnik, Wiec Kobiecy czyli Babski Comber, Sąsiedzi, Babska Polityka i Obieżysasi.

się, lecz mu jeszcze daleko do tego wykształcenia, do którego doszedł na Śląsku lub w Poznańskim.

Że kiedyś teatr ludowy w Galicji udać się może, dowodem tego jest Górny Śląsk, który ma polskie teatry amatorskie ludowe. Grają w nich rzemieślnicy i włościanie i ciż sami są zarazem autorami sztuk, których jest obfitość w rękopisach. Przeszczepienie tego teatru na nasz grunt dałoby początek rozwinięcia sceny ludowej u nas". (Czas Nr 250 i 251 Kraków 1900 — Teatr ludowy w Galicji).

W ostatnich latach na Śląsku przed wybuchem wojny, jak podaje Wallis, towarzystw polskich, dających corocznie przynajmniej jedno przedstawienie teatralne, było już bardzo wiele. Nie

było przeto niedzieli, zwłaszcza w porze jesiennej i zimowej, by nie grano jakiegoś przedstawienia. To też zbyt często dawane przedstawienia obniżyły bardzo ich poziom, a czołową rolę w przedstawieniu począł grać sufler.

Z tego pobieżnego szkicu widać, że praca teatralna na Śląsku ma swoje głębokie podłoże i swoją tradycję.

Powołana do życia przez Wojewodę Dra Michała Grażyńskiego w roku 1926 Sekcja Teatrów Ludowych, a kierowana przez Stanisława Ligonia, bratanka Juliusza Ligonia, jednego z twórców teatru ludowego na Śląsku, miała za zadanie zaspokoić narastające w tej dziedzinie potrzeby. W Sekcji tej rejestrowały się zespoły teatralze na zasadzie specjalnego statutu, rozpoczynając przyszłą formę organizacyjną Śląskiego Związku Teatrów Ludowych, który został powołany do życia przez najwyższe czynniki na Śląsku sześć miesięcy temu. Trzyletnia działalność Oddziału Oświaty Pozaszkolnej na niwie teatralnej dostatecznie przeorała teren, to też *grunt pod tego rodzaju organizację jest już zorganizowany.*

Organizacja przyszłego Związku jest tak pomyślana, aby komórki jego mogły dotrzeć do najdalszych zakątków na terenie województwa śląskiego. Obok Zarządu z siedzibą w Katowicach, działać będą w poszczególnych powiatach Zarządy Okręgów. W skład Okręgów wchodzić będą koła t. j. zespoły teatralne.

Zadaniem Śląskiego Związku Teatrów Ludowych będzie podnieść poziom wykonania przedstawień amatorskich przez dostarczenie zespołom pomocy technicznych w postaci kostiumów, rekwizytów i w miarę możności, pomocy instruktorskiej. Rozwijający się z dnia na dzień teatr małych form w świetlicy, jak również teatr szkolny, znajdzie troskliwą opiekę i pomoc w Śląskim Związku Teatrów Ludowych. Związek ten planuje znowu powołać do życia teatr kukiełek. Zajmie się również popularyzacją poezji przez teatr małych form w świetlicach, oraz uruchomi akcję wydawniczą. Obok biuletynu o charakterze poradniczym, opracowań inscenizacyjnych tekstów literackich, Związek zamierza wydać kilka sztuk ludowych regionalnych oraz w miarę środków, pragnie przypomnieć przez wznowienie wydawnictw teatralnych› działalność literacką wymienionych trzech pisarzy śląskich, mających dla kultury teatralnej na Śląsku niepomierne zasługi.

Kącik gospodarczy

Kurs A i B Szkoły Gospodarczej.

Co nam daje Szkoła Gospodarcza?

Skończyłyśmy Szkołę powszechną i stanęłyśmy przed trudnym pytaniem: co robić dalej? czego się nauczyć, by nie być w życiu pasożytem, lecz czynną i pożyteczną jednostką. A więc jaki zawód byłby dla nas odpowiedni, a równocześnie miły, który byśmy z przyjemnością poznały? Przyznać trzeba, że dziś to nie przedstawia trudności, mamy drogę wszędzie otwartą i tyle szkół o charakterze specjalnym istnieje w Polsce. Jesteśmy kobietami, więc co nam się najbardziej w życiu przyda? Zdawało mi się przed rokiem, a dziś twierdzę z całym przekonaniem, że umiejętność gospodarowania, kalkulowania i urządzania własnego domu jest dla nas dziś najpotrzebniejsza.

Przyznaję, że wstępując do Szkoły gospodarczej, której pełny tytuł brzmi Szkoła Przysposobienia w Gospodarstwie Rodzinnym Tow. Polek w Katowicach nie mogłam sobie wyobrazić, czego się tam przez tyle miesięcy uczy, myślałam, że nauczymy się gotować i na tym się kończy cały program — ale przez cały rok! Omyliłam się. Cały rok nauki akurat wystarczy, by nas zapoznać z pracą gospodyń. Szkoła Gospodarcza jest dla przyszłej gospodyni tylko przygotowaniem do jej zawodu. Wszystkie nasze wiadomości musimy dopiero w życiu zastosować, wypróbować. Uczymy się tutaj nie tytko tego jak się gotuje daną potrawę, ale też ile na to muszę wydać, by było i oszczędnie i dobre. Czy pasuje to danie do dzisiejszego menu? Czy nie będzie szkodliwe dla zdrowia osób starszych czy chorych? To ostatnie jest już zadaniem naszej lekarki szkolnej, która na lekcji higieny zapoznaje nas z budową ciała ludzkiego i jego ułomnościami. To, czego się nauczymy w teorii — stosujemy w praktyce. A więc idziemy na targ i poznajemy gatunek i cenę artykułów spożywczych. Zwiedzamy sklepy spożywcze, uczymy się poznawać jakość produktów, które kupujemy i z których przyrządzamy potrawy w naszej umiejętnie urządzonej kuchni.

Uczymy się poznawać gatunek i rodzaj naczyń kuchennych, które im lepiej są utrzymywane tym na dłużej wystarczą. Obliczamy ile dany obiad pochłonie paliwa wszelkiego rodzaju (gaz, węgiel) i ile będzie kosztowało. Gotowanie odbywa się bądź w kuchni rodzinnej, bądź też w laboratorium, gdzie każda z nas ma osobny piecyk gażowy (2 palniki) i te wszystkie naczynia, które jej w czasie gotowania będą potrzebne — to ostatnie jest pewnego rodzaju nowością w Szkołach gospodarczych.

Nie ograniczamy się tylko do gotowania, czy konserwowania. — By być „Panią domu" w pełnym tego słowa znaczeniu, musimy posiadać pewne wiadomości z zakresu szycia i znać wszelkiego rodzaju reparacje; szkoła gospodarcza i tego nas uczy. Nie tracimy dużo czasu na sprzątanie, ponieważ t. zw. „porządki" nauczyły nas w jaki sposób bez specjalnych zabiegów utrzymywać mieszkanie i kuchnię w czystości. Umiemy też racjonalnie prać, prasować, a jeżeli w przyszłości będziemy posiadać przy domu kawałek ziemi, to dzięki lekcjom ogrodnictwa potrafimy założyć mały ogródek i hodować najniezbędniejsze jarzyny.

Do teoretycznych, a bardzo ważnych przedmiotów należy organizacja w gospodarstwie rodzinnym. Uczymy się na tych lekcjach tego czego nie znajdziemy w żadnej książce kucharskiej. Jednak musimy wiedzieć jak zorganizować nasze życie gospodarcze, by przy minimum wysiłku i kosztów dać maksimum korzyści. Dowiadujemy się naprzykład jak należy urządzić nowoczesne mieszkanie, by uwzględnić i koszty (bo uczymy się oszczędności) i wygodę i higienę i estetykę, która tak potrafi umilić nam życie.

By się nie zasklepiać zanadto w zajęciach gospodarskich i mieć pojęcie o życiu, które ciągle idzie naprzód — mamy też tak zwane przedmioty ogólnokształcące. A więc czytamy książki i omawiamy interesujące nas zagadnienia — na lekcjach jęz. polskiego; czytamy gazety i śledzimy bieg wydarzeń — na lekcjach o Polsce Współczesnej. Uczymy się religii, śpiewu, mamy na terenie Szkoły POW., należymy do harcerstwa, pracujemy w Samorządzie szkolnym i czasem żałujemy, że dzień ma tylko 12 godzin.

Nasz mundurek

Coraz częściej, coraz głośniej upominają się koła o wzór i krój mundurka, który już zresztą był podany w jednym z pierwszych numerów „Głosu Młodych". W dzisiejszym numerze podajemy całkowity wzór munduru, oraz haftu który umieszczamy na kołnierzu i rękawach.

Mundurek składa sie z białej bluzki lnianej i granatowej spódniczki. Kołnierzyk i mankiety zahaftowane barwnym wzorem, czynią miłe i żywe wrażenie. Często słyszy się głosy sarkające na len, na jego łatwość gniecenia, na brak elegancji. Jeśli chodzi o te właściwości to jestem zdania, że lepszy i praktyczniejszy jest prawdziwy len niż sztuczny jedwab, który nadaje się raczej na wykwintne bluzki niż mundurkowe. Len zresztą jest miły, modny, i higieniczny w noszeniu — a gnieceniu zapobiegamy, gdy po wypraniu, wymaglujemy i wyprasujemy lekko wilgotną bluzkę. Wówczas wygląda ładnie i solidnie. Na zakończenie dodatnich cech lnu dodam, że kupując i nosząc len popieramy rolnika, jego pracę i dopomagamy do rozwinięcia się przemysłu lnianego. Jeśli do tego dodam, że my jako organizacja propagujemy hasła popierania wyrobów krajowych, to wszelkie wahania co do wartości lnu znikają.

Drugą częścią mundnru, to spódniczka granatowa z szeroką fałdą na przodzie zaszytą do kolan.

No i wreszcie beret granatowy z oznaką na przodzie.



Objaśnienie: 1) kwiatki — kolor czerwony, 2) środek — jasno żółty, 3) listki — zielony, 4) kłosy i kulki — złote.



Na zakończenie dodam że wszystkie koła winny starać się o umundurowanie członkiń, gdyż to jest wyrazem łączności organizacyjnej, karności, ładu, reprezentacji na zewnątrz, no i przecież my musimy wyglądać równo, jednakowo a cechować nas winno piękno i harmonia.

Wydawca: Zarząd Główny Tow. Młodych Polek Katowice, Plebiscytowa 1. Tel. 354-39.
Redaktor odpowiedzialny: Szpalowa Zofia
Prenumerata roczna 2.50 zł., numer pojedyńczy 25 gr.

Drukiem: Drukarnia Handlowa R. Monsiorskiego Będzin—Katowice. Tel. 710-84.